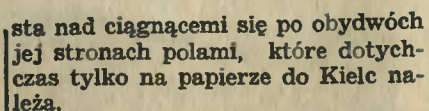


ŻNIWA!

(Wrażenia umyślnego wysłannika „Kurjera Porannego“)



To panowanie młasta nad otaczającymi go polami, rozszerzanie granic daleko poza linie ścisłej zabudowy, jest wyrazem zaborczych ambicji, wyrazem dążenia do ekspansji. Ale te ambicje kładą się później na miasta dużym ciężarem. Tereny podmiejskie włączone do miasta przynioszą nam niewiele, a nakładają jednak obowiązek inwestowania. Kiełce nie są, jeśli o to zagadnienie chodzi, wylatkem.

(Dokończenie na str. 4-ej)

garderobami artystów (Kielce nie mają specjalnego gmachu teatralnego), sale balową, sale konferencyjne, dużą salę jadalną, pomieszczenia dla wszystkich organizacji W. F. i P. W., mieszkania dla uczestników kursów, które tu się będą odbywać i t. p.

Gmach jest wspaniały, imponujący, nie-
gdyż rozmiarami, lecz niepokojący nie-
bywałym bezkrytycznym eklektyz-
mem architektonicznym. Projektowa-
ł go arch. Edgar Norwerth z
Warszawy z zaskakującą wprost
dezynwolturą. Bogactwo szlachet-
nego materiału (marmury, kielce

wszystkich chyba odzajów) zastosowało we wnętrzach oszalałających bogactwem form dekoracyjnych, przypominających wnętrza pałacowe z filmów amerykańskich. Zdziwiani to łembardziej, że niektóre partie wnętrza: hall na parterze, klatka schodowa, wielki korytarz pierwszego piętra i wreszcie sala teatralna wykazują zgola inne możliwości twórcze architekta, stwarzają zespoły pełne umiaru, dobrego smaku, wykazują przemysłane zastosowanie tych samych marmurów, które obok, w tym gmachu architektonicznie niespodzianek, szpecą stłoczonem bogactwem i wspomnianym tu nieszczęśliwym eklektyzmem.



Bezrobotni zatrudnieni przy budowie drogi z Kielc

ny gościniec życia — i że znajdujemy się tu w miłym, cichym królestwie przeszłości, za frontem współczesnego życia z jego pozbawionymi respektu problemami i konfliktami?

zamysłona, poważna, walczy pracowicie o wyraz dla swojej treści, o swoją formę. My, czytelnicy, towarzyszymy pracowitemu, ciepłemu aktowi wpatrywania się w przeszłość, w genealogię dnia dzisiejszego. Chwiliami zdaje się nam, że jesteśmy niedyskretni, zwłaszcza, że autorka jest tak powściągliwa, dyskretna, taki zachowuje kównomierny, dystans wobec wszystkich treści, przechowywanych podsuwanych jej przez wierną, wzruszona pamięć.

Tempo tej pracy jest konsekwentne i powolne. Jakas melancholijna mgla kładzie się na wywoływane duchowe krajobrazy. Odnosimy chłodną wrażeń, że weszliśmy do opuszczonego pokoju ze spuszczonej starami i że czyjeś nieoficjalne ręce szperają w starym sekretarzyku i wydobywają zeń poślikane listy, wznoszące stare fotografie i zasuszone kwiaty. Jakis inwentarz wez-

Odpowiada się tu jakieś skromne, ciche nabożeństwo, jakieś wewnętrzne misterjum, jakaś spowiedź i rozmowa ze wspomnieniami, które mają największą wartość. Czy można, czy wypada przetrwać te poważną, cięską jakąś głośną uwagę, czy wypada brutalnie podnieść stary, otworzyć okno i powiedzieć, że nie u

Czy pytanie takie, w którym dopatrzeć się można pewnej obiektywności, jest usprawiedliwione, czy jest słuszne? Czy wolno narzucać pisarzom cele i formy, od których jest daleki? Czy nie popełnia się w ten sposób niesprawiedliwości, nie popada w belferyzowanie i doktrynizm?

Zdaje się, że nie, o ile samemu dziełu odda się sprawiedliwość. Po-
wne zamieszanie w pojęciach, skali
ocen i wartości nie jest winą utwo-
rów ani pisarki, ale pewnych braków
w naszej produkcji kulturalnej i na-
szego głodu w tej dziedzinie. Na-
stępnym razem popatrz na wielkie li-

swiecie wzrasta popyt na wieksie i
trwalcie cykle. Produkuje je kazda
wieksza literatura, tworzy je caly
szereg reprezentatywnych dla swo-
ich spoleczenstw pisarzy. Wystarczy
wymienic nazwiska Dreisera, Sin-
claira Lewisa, Dos Passosa, Gals-
worthy'ego, Prousta, Julesa Roman-
sa, Lacretelle'a, Szokochowa i in-
nych. Cót dziwnego, ze i Polska za-
pragnela przyrzecze sie sobie w li-
terackim zwiadczeniu własnego cyk-
lu, ze wielki szesciotomowy utwór
Dabrowskiej przez niektórych pod-
niesiony zostal do tej rangi i umie-
sczony w nieodpowiednim dla sie-
bie towarzystwie?

Cykl, tak jak się go obecnie u-
prawia i jak się go uprawiało daw-
niej w twórczości Balzaca, Zoli, ma
swoje cechy, swój gatunkowy ciężar
i swoje wymagania. Bohaterem cy-
klu jest nie człowiek, nie rodzina,
ani nawet epoka, ale zbiorowość

Kominek z kieleckich marmurów w sali konferencyjnej gmachu W. F. i P. W. w Kielcach.

Bezrobotni zatrudnieni przy budowie drogi z Kielc do Bukówki.

społeczeństwo, naród, współbohaterami są kraj i epoka dziejowa. Jest to ożywiona, wskrzeszona, czy też jak kto woła, zmieniona historia. Jej przemiany i wydarzenia ukazane są w przymałe pewnie ilości ludzkich żywotów. Postacie literackie obracają się na realnym gruncie swojego kraju, oddychają jego powietrzem. Czas odgrywa tu pierwszorzędna rolę. Jest nieustannym, choć niezawsze bezpośrednim, niezawsze w pełni widocznym towarzyszem ludzkich losów. Czas jest również postacią i na równi z innymi postaciami jawia się, przeżywa swoją młodość i wiek męski, starzeje się, przekwita i kładzie do grobu. Nema prawdziwego wielkiego cyklu bez świeżego powiewu przyrody i dziejów, powiewu, który wygładki w ich czasowym upływie układa perspektywie, powiedziabym kinematograficznie w żywą, różnolita, a zjednoczoną całość.

Czytelnicy długich cyklów powieściowych są cierpliwi, a przychodzą im to tem łatwiej, gdyż autorzy niecierpią się za nich. Chwyta życie za łeb, za rogi, cofają się wprawdzie w przeszłość, aby wytułaczć co się dzieje, ale śpieszą im na front dzisiejszego dnia. Niebezpieczna teraźniejszość pociągają i kusi, a trud ich zmierza ku temu, aby ją zamknąć w szerokich nierzale przecięć w proporcji do tematu ciasných ramach swojego utworu. Dążą do tego, aby jak najwięcej współczesnego materiału jak najwięcej konkretności uchwycić i wyraźnie zmieścić się na kartach ich utworów. Używają wszelkich wynalazków formalnych, aby osiągnąć ten cel. Dos Passos używa

formy kinowej. Zresztą forma nie stanowi niewzruszonej recepty. Zasadniczą rzeczą jest głód rzeczywistości, zdąca artystycznego jej podboju. Balzac, biorąc formalnie, sam niewdziadny w swoich dziełach przypatrzyć się morzu współczesności. Proust przelewa je przez lejek swojego ja i swoich wspomnień. Metody są sprzeczne ale rezultaty są podobne: pomnik wystawiony swojej współczesności.

Małgorzata Dąbrowska zaczyna z daleka. Zaczyna od powstań, umieszcza nas w dworku, jednym słowem, wybiera się drogą, którą już tyłu pisarzy przeszło przed nią. Temat jest tradycyjniejszy: podróz w świat, stwory szlacheckie po przez dzieje, w miarę możliwości przekształcanie się Polski szlacheckiej na inną, której przodkowie byliby dziś na dach miedzwymazną nazwę. To drugie

gie zresztą jest raczej postulatem Dwór, mniejsza o to, czy wiejski czy przeniesiony do miasta, czy ulokowany w psychice, jest punktem centralnym dzieła Dąbrowskiej. Postacie szlacheckie zajmują środek sceny, pada na nie pełne światło spośród nich jedynie rekrutują się pełne, trójwymiarowe postaci główne. Przedstawiciele warstw innych statystują jedynie, wypełniając scenę, dopowiadają to co potrzeba, a zawartość ich psychiczna jest znacznie lżejsza, bardziej dowolna albo nakazana. Mają dwa wymiary: pozabawieni zostali ludzkiej twarzy i ludzkiej głębi.

Uczyniłby krzywdę Dąbrowskie-
ten, żeby nie docenił ciężaru sub-
stancji ludzkiej, zawartej w posta-
ciach Bogumła i Barbary. Postaci
te zabalsamowane zostały cudowne

atmosferę rzewnego, pełnego miłości wspomnienia. Pióro artystki staje się ciche i niesmiałe, aby brutalnie określać słowem nie znające tej atmosfery, nie zepsuć ani jednego momentu, wzkrzeszonych, idealnych żywotów

Bogumiń jest postacią waruszającą, pełnią, jest cywilnym świętym, tak indywidualnie świętym, niepodobnym do innych, odczytym o wszystkim dookoła, że może chwilami stać się nierealnym dla widzów. Życie jego jest dobrowolnym aktem detronizacji samego siebie, swojej szlachetności, swojej dumy, karmazynowości swoich powstańczych zasług. Osiąga to, a czym marzyli wielcy, patetyczni bohaterowie Żeromskiego: staje się szarym, staje się małym tak dalece, że gubi się i znikną na marginesie dziejów. Ale, jakby biorąc mimowolny rewant, święta swą rezygnacją tak dalece urasta, moralnie i tematowo, że zakrywa sobą te dzieje i niweczy propogandę.

Z młodem pokoleniem jest, już gorzej — z konieczności musimy się o graniczyć do paru postaci i paru uwag. Wyobrazicielem młodego pokolenia jest szlachcic pepeesowie Marcin Śniadowski. Znany z literatury jego rodzinę duchową. Spokrewniony jest z nim Czarowie Żeromskiego i bohaterowie Struga.

Przyznam się, że Śniadowski jest dla mnie mocno niesympatyczny. Jest to typ niebezpieczny ze swym szlachcockim impetem, impulsywnością, niedojrzałością umysłową i uleganiem instynktom. Stara szlachkość niewądowo dlaczego ułokowana w swojej niedopowiedzanej formie. Socjalizm, postępowość tego

Podróż do Żoliborza

Nie mogę sobie pozwolić na podróż do stratosfery; zresztą, nie wytrzymałbym jej — nawet skromne góry tyrolskie są dla mnie zbyt wysokie. Sądziłem jednak, że do Zoltorza wybrać się można bez ryzyka i bez niebezpieczeństwa, a z pewną przyjemnością, jeśli zdyskontować wieści liczne a przyjemne, które o "rozroście" o pełnościach tej sąsiadującej z Warszawą dzielnicy, tyle i tak wymownie opowiadają...

**Jakże się myli! Nie co do przy-
jemności; nie mogłem skontrolować
tej strony zagadnienia, albowiem de-
szące rzęsiście trzymały mnie w po-
koju w towarzystwie przyjaciela, z
którym opowiadał mi sobie ane-
doty z przed lat pięćdziesiąt. Ale
co do ryzyka i bezpieczeństwa... Go-
bądy nie moja wytrwałość i upór
i gąbry nie świadomość, że czekają
na mnie ze śniadaniem... nigdybym
do ulicy generała Żajączka nie doje-
chał — i albo wrócić musiałbym
do miasta, albo wykreślić z życia mego
całą godzinę...**

Czytelnicy nasi zauważyli może, że lato w roku bieżącym jest niepełne. Jeden dzień słonca — dwa deszczu. Siedmiu braci śpiących dotrzymują obietnicy, o której już napomknęliśmy czterdziestu braci męczenników... Deszcze i deszcze... Wczoraj w niedzielę, niebo wrzuciło nas podwójną porcją deszczu, wbrnę wszelkiej logice, która nakazywałaby raczej kłusując deszczów zlikwidować w sobie, aby obywatel mógł medytować z rozkoszą przytężyć... Pomimo to, uważam, jak mówią Francuzi, odważyć w obie ręce i pojechać do Zolborza, gdzie mnie czekało śniadanie i rozmowy o rzeczach z przed lat pięćdziesięciu... Po drodze zwycięski deszcz walił w szyby czternaści, ale nie traciłem nadziei, że się ustakuję przed moim przystankiem. Tak też uczyniłem, zgodnie z mem życzeniem, ale...

„Ale przed wjazdem pod most kolejowy, wjazdem do Żoliborza, tramwaj się zatrzymał. Był w licznem towarostwie; cały szereg czternastek, piętnastek a, siedemnastek dotrzymać mu towarzystwa. Staliśmy wobec groźnego żywiołu. Ten ostatni reprezentowany był przez kłęby iód na ziemi, które skupiały się pod mostem, wylewały na zewnątrz, tworząc przysięgim Niagara, wobec której abdukowali motoru tramwajowe.

Był to widok malowniczy i nieco pocieszny. Na przypuszczenie, że komunikacje, jedyną komunikację z Warszawy do Żoliborza pokona deszcz, który trwał kwadrans — to przypuszczenie — a cóż dopiero jego realne potwierdzenie — gdyby nie było wioło — obrażałoby godność naszą miejską i stołeczną. Od godziny dwunastej m. 50, do godziny pierwszej minął 35 — czekałami przed mostem, z niepokojem i nadzieją obserwując wysokość wody pod mostem; niektórzy takśwódk, których szoferzy pełni byli ducha awanturniczego, wjeżdżali w spienione nurty — okrzykami życzyliśmy im szczęścia i powodzenia; ale pomówił mi uroczyście wieździelem, czy pomysłinie przedostał się na stronę bezpieczną, czy też rozstraskane, z motorem emocyjnym i bezczynnym leżą gdzieś na pobojuwisku. O godzinie pierwszej minął trzydzieści pięć, wody opadły — przejechałami triumfując, chociaż fale, rozpychane przez nas, brzygały aż do okien. Na szczęście, gościnny dom, dokąd zdążyłem, czekał na mnie, kurczęta nie ostygły, a co się tyczy wspomnień z przed lat pięćdziesięciu — te nie zdolały już zestarzeć się bardzo!...

Nie mogę zrozumieć tego wszystkiego. Powiadają, że gdybym był inżynierem, wszystko byłoby dla mnie jasne. Bo podobno miano już wszystko zrobić, co potrzeba, aby najrychlej stworzyć bezpieczną komunikację 50-ciu tysięcznego Żoliborza ze śródmieściem przez budowę wiaduktu, lecz władcy kolejowi nie śpieszą się z budową wiaduktu. Nie jestem inżynierem, nie chcę być inżynierem; jestem obywatelem miasta Warszawy, chcę mieć możność, nawet kiedy deszcz pada, dostać się do Żoliborza.

A jeśli już koniecznie trzeba wpły-
nąć na kogoś z ludzi potężnych w
Kolejach, to proponuję wydanie de-
kretu, któryby nakazał człowiekowi
temu wyznaczyć mieszkanie w Zoli-
borzu i zabronić mu posługiwania się
służbowem autem. Co się tyczy po-
gody, można pozostawić ją w stanie
obecny.

Jestem przekonany, że zarządzenie to pozwoliłoby nie spóźnić się na śniadanie na Żoliborzu nawet w największą ulowę.

- 10